

TEATR

NIKT JAK LEVIN

Moda na Hanocha Levina dopływała do Polski wąskim strumykiem. Ostatnio strumyk ów stał się jednak rwącym potokiem. Przez lata nazwisko tego izraelskiego dramaturga, pisarza i poety kojarzyło się przede wszystkim ze znakomitą spektaklem „Krum”, który Krzysztof Warlikowski zrealizował w Teatrze Rozmaitości w Warszawie w 2005 roku, czyli sześć lat po śmierci pisarza. Przedstawienie obrosło legendą i po latach inni polscy twórcy zaczęli się delectować Levinowym spojrzeniem na świat.

Zainteresowanie wzmacniała świadomość, że rodzice Levina wychowywali się w Polsce, a on samo choć urodzony w Izraelu, dorastał w społeczności polskich Żydów. Ta „genetyczna przypadłość” może być jednak dość myląca. Levin bardzo mocno osadzony był bowiem w kulturze izraelskiej; bliżej mu było z pewnością do Becketta niż np. Mrożka czy Gombrowicza. Niektórzy widzą w nim też kontynuatora teatru absurdu Eugène’a Ionesco czy spadkobiercę teatru okrucieństwa Antonina Artauda oraz teatru epickiego Bertolta Brechta.

Premiera spektaklu satyrycznego „Królestwo wszechwanny” wyreżyserowanego w słynnym Teatrze Cameri w



Tel Awiwie przez brata pisarza zakończyło się skandalem. Najbardziej ponoć zbulwersowała widzów scena „ofiarywania Izaaka”, gdzie przygłuchy Abraham nie reaguje na głos Anioła. Pacyfista Levin wyśmiał w ten

sposób motyw niezawinionej i bezsensownej śmierci przypisanej ofierze sakralnej. Odczytano to dość jednoznacznie jako głos protestu wobec ruchu syjonistycznego walczącego o polityczną autonomię w imię religii. Warto dodać, że w warszawskim Teatrze Żydowskim utwór wystawiony został tak nieporadnie, że wywołał raczej senność i znudzenie, więc żaden aktor, wychodząc na scenę, nie narażał się jak w Tel Awiwie na atak ze strony widowni. I nie doznał uszczerbku na zdrowiu i życiu.

Ale w teatrach polskich od czasów „Kruma” mogliśmy też odnotować wiele udanych premier. Jedną z nich przygotował przed laty Jan Englert. Wystawił on w Teatrze Narodowym „Udrękę życia” z kreacjami Anny Seniuk i Janusza Gajosa. Specjalistami od Levina stali się też m.in. Adam Sajnuk i Artur Tyszkiewicz. Ten ostatni zrealizował m.in. znakomitą inscenizację „Sprzedawców gumek” w IMCE.

Teraz do tej listy dopisać trzeba spektakl „Nikt” w Teatrze Narodowym. Mimo pewnej rozwlekłości i fatalnej scenografii przedstawienie to zasługuje bez wątpienia na uwagę.

Mamy tu, jak to u Levina, bohaterów cierpiących na samotność, łaknących bliskości. Nieporadnych marzycieli zmagających się z przeciwnościami losu. Ale też tych zapobiegliwych, pysznych, dumnych i cwanych, którzy wyglądają jak własne karykatury.

Spektakl jest przede wszystkim popisem gry aktorskiej. Obserwujemy całą galerię czy wręcz – powiedziałbym – menażerię postaci. Od początku jesteśmy szantażowani psychicznie przez Chefeca (Mariusz Benoit) grożącego popełnieniem samobójstwa. Co ciekawe, jego zamiar spotyka się z pełną aprobatą, a nawet zachętą bliźnich, którzy nie przestają czuć do niego pogardy. „Nie roztkliwiaj się nad swoim życiem, niszczymy cię i tyle” – mówi z całą szczerością krewny potencjalnej ofiary Tejgalach (Krzysztof Stelmaszyk). Nastrój stypy, jaki wisi w powietrzu, skutecznie rozrzedza celebra przygotowań do ślubu pary narzeczonych, których dylematy świetnie prezentują Lidia Pronobis i Hubert Paszkiewicz. A Ewa Konstancja Bułhak jako ewentualna teściowa pana młodego prezentuje wulkan temperamentu. Szukra Jerzego Radziwiłowicza to wróżbita mitoman; żadne tam z niego wyobrażenie Losu, raczej kolekcjoner silnych wrażeń. A do tego Jacek Mikołajczak, który jako hipochondryk Adaś Bardaś skutecznie zadręcza wszystkich swoimi fobiami. Kto wytrzyma z takimi ludźmi? Nikt. ©

—Jan Bończa-Szabłowski